

Wstęp



Wstęp:

Miałem wtedy dziesięć, może jedenaście lat i status ucznia czwartej lub piątej klasy szkoły podstawowej w Wielkim Dworze – skromnym, krytym papą dworku ziemiańskim we Frydrychowicach nieopodal Wadowic, którego właściciele znali jeszcze nasi rodzice. Teraz w majątku zadomowiła się Spółdzielnia Produkcyjna, a sale dworku przekształcono na klasy lekcyjne, w których nam, dzieciakom, wbijano do głów podstawy wiedzy. Część mieszkalna należała do kierowniczkii – serdecznej ale równocześnie surowej pani Anny Gruszeckiej, która mieszkała tam wraz ze swoją starszą siostrą. Przed laty pani Gruszecka rozpoczynając karierę nauczycielki w niedalekich Zygodowicach, miała w swej klasie moją mamę; teraz – na ostatniej jak się okazało posadzie – uczyła mnie.

W owych czasach w szkołach odbywały się jeszcze lekcje religii, które w Wielkim Dworze prowadził miejscowy proboszcz, ks. Stanisław Szamota. Człowiek ten zapisał się w moich wspomnieniach, zwłaszcza gdy chodzi o kwestie religijne, w pewien szczególny sposób. I choć po latach miało się okazać, że wkładał nam też do głów wiele niebiblijnych nauk, do dziś w sercu mam dla niego wiele wdzięczności. I bardzo żałuję, że nie było mi dane spotkać się z nim w czasie, gdy jako dorosły człowiek dokonałem świadomego wyboru mojej drogi za Jezusem. Byłem przeświadczony, że on dawno już nie żyje, podczas gdy wciąż żył i przebywał w tej samej parafii, już jako emeryt, aż do połowy lat dziewięćdziesiątych...

Ks. Szamota przygotowywał nas, ośmiolatków do *Pierwszej Komunii*. Pamiętam te lekcje i nastrój oczekiwania na „osobiste spotkanie z Panem Jezusem” – jak wciąż podkreślał proboszcz, który mówił nam, jak ważna jest osobista relacja człowieka z Bogiem.

– Ja chcę was przygotować do dojrzałego życia wiary – mówił – i uczę was różnych rzeczy. Bo ważne są sakramenty, ważne przykazania i liturgia. Ale pamiętajcie – najważniejszy jest osobisty kontakt z Bogiem, osobista i bliska relacja z Panem Jezusem Chrystusem w czystym sumieniu!... Zapamiętajcie to, bo tu chodzi o rzecz najważniejszą – o waszą uczciwość i wasze sumienia; tego nic nie zastąpi!... Nie zapomnijcie też nigdy, że On was wszędzie widzi, że cieszy się i jest dumny, gdy postępujecie szlachetnie, a martwi Go, gdy schodzicie na złe drogi. Nie dopuście, aby kiedyś musiał się od was ze smutkiem odwrócić!...

Takie słowa robią wrażenie i mocno kodują się w duszy dziecka. Tyle lat minęło, a ja wciąż niemal słyszę jego głos... i przypominam sobie pewne zdarzenie.

Miało to miejsce w czasie przygotowania do *Pierwszej Komunii*. W sobotę cała nasza grupa miała swoją pierwszą spowiedź i ksiądz polecił nam, abyśmy – zanim przyjdziemy do konfesjonału – pojednali się ze wszystkimi wokół. Należało za swoje przewinienia przeprosić rodziców i rodzeństwo, a także sąsiadów i inne osoby, wobec których w czymś zawiniliśmy. To było niezapomniane przeżycie! Pamiętam zaskoczenie widoczne na twarzach najbliższych, głębokie wzruszenie i ich lekko drżące słowa... Jeszcze bardziej zdziwieni byli sąsiedzi, a ich uczucia znalazły wyraz w szczerych, spontanicznych słowach sympatii i życzeniach Bożego błogostawieństwa... Napełniała mnie radość!

Ksiądz Szamota wiedział, że mam do domu blisko pięć kilometrów, a dlatego poprosił mnie do konfesjonału jako pierwszego. Po spowiedzi, lekki i radosny ruszyłem w drogę powrotną. I nagle... Niespełna kilometr przed domem,

przypomniałem sobie jeszcze jeden grzech, którego nie wyznałem... Jak mogłem zapomnieć! I co ja teraz mam zrobić?...Wprawdzie na końcu spowiedzi wymówiłem szczerze przepisaną formułę: „*Więcej grzechów nie pamiętam*”. Z drugiej jednak strony, uświadomiłem sobie, że wciąż jeszcze mogę wrócić i wyznać ten grzech. Bo inaczej, jak w tej sytuacji mam jutro iść z czystym sercem do *Komunii*?...

Gdyby ktoś wtedy na mnie patrzył, mógłby pomyśleć, że z tym chłopakiem jest coś nie tak. Długo stałem na drodze, potem wracałem kilka kroków do kościoła, znów przystanek... kilka kroków w stronę domu. I tak parę razy... W końcu, przymuszony sumieniem i spragniony zupełnego oczyszczenia, wróciłem do kościoła. Gdy znalazłem się w głównej nawie, ksiądz właśnie skończył spowiadać naszą grupę i zdejmując *stułę*, wychodził z konfesjonału. Na mój widok, zatrzymał się zdumiony: „Skąd się tutaj wzięłeś?” – zapytał. Powiedziałem mu o swoim problemie. Uśmiechnął się i powiedział: „Dziecko, przecież na końcu powiedziałaś, że więcej grzechów nie pamiętasz – prawda?”. – „Tak, odpowiedziałem, ale przecież sobie przypomniałem...”. Położył mi rękę na głowie i powiedział: „Nie musiałaś tego robić, ale skoro to było potrzebne twojemu sumieniu, to dobrze zrobiłaś!”. Uklęknąłem przed konfesjonałem. A potem całkowicie wolny i niewyobrażalnie szczęśliwy, jakby mi skrzydła wyrosły u ramion, pobiegłem przed siebie! I nawet nie zauważyłem tych kolejnych pięciu kilometrów nierównej zwirowanej drogi!

Nigdy nie miałem wątpliwości, że w tamtym przeżyciu był ze mną Bóg. A to, co się ze mną wtedy działo, było inspirowane przez Jego Ducha. Oczywiście, ze Słowa Bożego wiem, że to nie ksiądz odpuścił tamte moje grzechy; to czyni tylko Pan Bóg i – z Jego upoważnienia – Pan Jezus Chrystus (Mk 2,10). Ale to Bóg uczynił wrażliwym moje serce i sumienie, to Jego wola i pragnie nie czystości objawiły się w moim zachowaniu. I z całego serca Mu za to dziękuję!

Drogowskazy, jakie wtedy postawił przed nami ks. Szamota, wskazywały duchowy kierunek i pozwalały wybrać drogi, którymi miałem iść w swoim życiu. Po latach, gdy już poznałem i nauczyłem się rozumieć Słowo Boże, przekonałem się, że on sam, będąc sługą swego Kościoła, podawał nam do wierzenia wiele niebiblijnych, opartych jedynie na Tradycji katolickich nauk. Ale to, co mówił o duchowym życiu, o potrzebie osobistej relacji z Bogiem oraz trosce o czyste sumienie, okazało się prawdziwe i wciąż jest niezwykle ważne. I za to właśnie, i dla niego mam w sercu wiele wdzięczności!

... Wszystko te sprawy przychodzą mi na pamięć, gdy myślę o pierwszym kontakcie ze społecznością *Świadków Jehowy*.¹⁾ Kontakcie, który był małym początkiem *Wielkiej Przygody* ze Słowem Bożym – Biblią.

Pamiętam, że to była niedziela. Już od rana mówiło się w domu, że dziś odwiedzi nas przyjaciel naszego taty, który przed kilku miesiącami, osiem/dziewięć lat po wojnie wrócił z Francji do sąsiedniej wioski. Wrócił i wkrótce po okolicy rozeszła się wieść, że „Wądołny zakłada nową religię!”. Tak więc czekaliśmy na niego...

Przypisy:

1) W książce będę używać jedynie określenia: *Świadkowie*, pomijając Imię Najwyższego. Nie tylko ze względu na to, że tetragram JHWH powinien być odczytywany jako „*Jahwe*”. Ale przede wszystkim dlatego, że to święte Imię Boga (jedno z wielu Jego świętych Imion) społeczność *Świadków* bezwiednie lub – jak dosadnie mówią inni: bezmyślnie – zniesławia! Bo czyja jest wina, że nie znające tego świętego Imienia, nieświadome rzesze metrykalnych chrześcijan, w przeróżny sposób odmieniają Je i wyszydząją, ściągając na siebie winę i przekleństwo?! – Bo czyż od dzieci, które spowodowały pożar, nie jest bardziej

winien ten, kto tym dzieciom dał do zabawy zapałki?!...

Rozdział I